

Pan Parasol



ZOŚKA PAPUŻANKA

Pan Parasol

Jakoś to wytłumaczy. Wytłumaczy się jakoś. Z tego. Tłumaczenie się nie może być trudne, ludzie się tłumaczą codziennie, niektórzy nawet po kilka razy, otrzepują się tanią wymówką jak mokry pies i odchodzą do dalszych rzeczy, których nie zrobią, do terminów, których nie dotrzymają, zadań, z których się nie wywiążą i będą musieli znowu się tłumaczyć. Czasem mówią prawdę, pies zjadł mi zadanie z matematyki, uczestniczyłem w wypadku i policja mnie przesłuchiwała, w ogóle się z tym panem nie spotykam, a jeśli, to był jeden jedyny raz i na pewno on dosypał mi czegoś do herbaty. A czasem kłamią w żywe oczy, po prostu zapomniałem, szefie, nie umiem sobie z tym poradzić, nie możemy dłużej być razem i nie potrafię wyjaśnić dlaczego, nie wiem po prostu. On wiedział. Wiedział, że nie wolno mu powiedzieć prawdy, bo jego prawda jest kłamstwem, kłamstwem tak niskim, tak banalnym, że nie dałoby się go wymyślić. Ale wytłumaczenie musi się dać wymyślić, powinno być proste jak drut, ale nieprawdziwe.

Nie można powiedzieć prawdy, prawda się jej nie należy. Nie wolno jej okłamać, nazbyt jest lojalna, zbyt uczciwa wobec niego, z zawstyżeniem naciskająca kławkę do małego pokoju, położonego tuż przy wejściu, na lewo od głównych drzwi mieszkania, które znał, jak mu się wydawało, ale przekonał się, że się mylił. Małe drzwi, za którymi nigdy nie był, sugerujące raczej łazienkę czy garderobę, pokój nieukryty, a więc najtrudniejszy do znalezienia. I ona, naciskająca kławkę z większym skrzepowaniem, niż gdy pierwszy raz, niechcący albo celowo, dotknął pod stołem jej stopy swoją stopą i nie zamierzał jej cofnąć, ona, pewna już swoich uczuć, upewniona ciężarem kławki, muszę ci coś pokazać, dwie wysokie komody pełne szuflad, muszę ci pokazać, musisz wiedzieć. Wyjaśnię ci, chociaż wyjaśnić się nie da. Zdarza mi się to nieustannie, chyba zaczęło się jakoś na początku liceum, musisz wiedzieć, jeśli chcesz tu zostać, skoro ja chcę, żebyś tu został, zostań w tym pokoju, mieszkaniu, zostań na noc, ze mną, na życie zostań. I on, który już wie, że zostać nie może, ale że to się da wytłumaczyć. On wytłumaczy, ona zrozumie. Byłe się powstrzymać przed powiedzeniem prawdy. Na razie cokolwiek, jak obiad na szybko, przypomniałem sobie o czymś ważnym, muszę cię przeprosić, źle się czuję, to chyba szarlotka, zjadłem za dużo szarlotki, muszę wrócić i zażyć lekarstwa, zadzwonię jutro, obiecuję, no przecież, a na razie cokolwiek, szybka wymówka, żeby zostawić ją z otwartymi ze zdumienia ustami i otwartą szeroko szufladą komody, zadzwonię, i zbiec po schodach, szybko, jak najszybciej. Podniósł głowę. Nie padało.

Powinien gdzieś tu być. Na pewno w parku albo w koszu na śmieci, albo na ławce przy placu zabaw. Ciekawe, jaki dzisiaj.

Zabierz parasol, powiedziała mama, zaczyna kropić, usłyszał jej głos na schodach, gdy zbiegał nimi szybko w dół, szybko, jak najszybciej, nie mam czasu, krzyknął, trudno, niech kropi. Parasol leżał na klatce schodowej przy wejściu. Leżał i czekał. Trzeba było go przesunąć, aby otworzyć drzwi, jakby celowo zastawiał sobą wejście. Rzeczywiście kropiło. A parasol czekał, żeby go zabrać i nie zmoknąć. Zwykły czarny parasol, nieduży, lekki, z jednym drutem nieco wygiętym. Bardzo zmokłeś, zapytała mama, gdy wrócił. A mówiłam, żebyś zabrał parasol. Nie zmokłem, znalazłem parasol na dole. Gdzie na dole. Na klatce schodowej, tuż przy wejściu. Pewnie któregoś sąsiada. Rozłóż ten parasol w wannie, niech wyschnie, a potem oddaj. Komu. Nie wiem komu, musisz się przejść

po mieszkaniach i spytać. Ale o co mam spytać. Znalazłem parasol, czy to nie pani albo pana.

Znalazłem parasol. Znalazłem parasol. To zdanie pojawiało się w jego życiu częściej niż deszcz. Czarny parasol wysechł, poszedł się przedstawić sąsiadom, ale żaden z nich nie był jego starym właścicielem ani żaden nie chciał być nowym. Parasol został, mama postawiła go nosem w dół w niewielkim wiklinowym koszu obok swojej parasolki w kratkę i drugiego, smukłego, starego parasola po ojcu, który odszedł kiedyś przy pięknej pogodzie bez żadnego wytłumaczenia.

Zabierz parasol, krzyczała mama, będzie padać cały tydzień. Nie chcę się spóźnić, odkrzyknął, niech pada, nie martw się. Ale i tak się martwiła.

Drugi parasol znalazł następnego dnia w tramwaju. W tramwaju ludzie gubią najczęściej rzeczy, przestają iść i zapominają, co mieli przy sobie. Drugi parasol był wilgotny i ogromny, mógł zmieścić pod sobą matkę i syna, gdyby zechcieli iść razem na spacer, na który nigdy razem nie chodzili.

Znalazłem parasol. Znowu znalazłem parasol. Znowu. Znowu. Pytałem w tramwaju, ale nikt nie zgubił. Jak to nikt nie zgubił, ktoś przecież musiał zgubić, skoro ty znalazłeś. Daj mu wyschnąć i postaw obok reszty.

Znalazłem parasol. Ale przecież dzisiaj nie pada. No właśnie, więc ten jest nikomu niepotrzebny, zaśmiał się, odkładając czarny automat z niewygodną do trzymania, plastikową kulą zamiast wygiętej rączki, do wiklinowego kosza z parasolową rodziną przybłądów. Znalazłem parasol. Znowu. Mógłbyś czasem znaleźć pieniądze. Ale znalazłem parasol. A ja właśnie wyrzuciłam kilka, chyba z dziesięć, wyniosłam na śmietnik, nie mogę już na nie patrzeć, może się komuś przydadzą. Na co nam tyle parasoli, nie mamy nawet tylu rąk. Za chwilę będzie nas jeszcze mniej, powiedziała mama, i to była prawda, zostaniesz sam ze swoimi parasolami. Dlaczego właśnie ty je znajdujesz, dlaczego musisz je znajdować. Nie wiem, ludzie ciągle gubią parasole, musi być zatem ktoś, kto je znajduje. Nie umiem tego inaczej wyjaśnić. Ale po co je ze sobą zabierasz. Rozumiem, widzisz, że leży parasol. W parku leży na ławce, w sklepie, na poczcie leży i płacze. To zauważ, że leży i że jest sam, jeśli już musisz zauważyć, ale po co go zabierasz do domu. Nie wiem, muszę i już. Ludzie gubią parasole. Ja jestem tym, kto je znajduje i zabiera do domu.

Los

Powiedział to. Powiedział tę prawdę, a może kłamstwo, dziewczynie, z którą chciał się ożenić. Jeśli się zgodzisz, musisz wiedzieć, że znajduję parasole. Ciągle. Znajduję i zabieram je do domu. Nie rozumiem, odparła, co to znaczy ciągle. Ile znalazłeś już parasoli, zaśmiała się. Nigdy nie liczyłem, to się zaczęło jakoś na początku liceum, moja mama raz na jakiś czas zbiera po kilka, kilkanaście i wyrzuca albo zanoszą do domu pomocy społecznej. Nie wiem ile, nie liczę, tylko znajduję. Ale ile znajdujesz, jak często. Różnie, trzy, cztery w tygodniu. Więcej, gdy pada. Najdłuższą przerwę miałem dwutygodniową, ale byłem wtedy chory, znalazłem tylko jeden w poczekalni w ośrodku zdrowia. Zepsuty. Zepsuty to ty jesteś, powiedziała dziewczyna, która została jego żoną, bo myślała, że kłamie, a mówił prawdę. Albo na odwrót.

Potem odeszła bez wyjaśnień, bo tak robią ludzie, którzy boją się powiedzieć prawdę albo nie potrafią skłamać. Odeszła w kwietniu, zapamiętał, ponieważ był sezon na burze wiosenne i znalazł wtedy śmieszny parasol, głęboki i ciasny jak kapelusz młodego borowika, zupełnie przezroczysty. Wspaniały parasol, pomyślał. Niby chroni przed deszczem, ale niczego nie można pod nim ukryć. Parasol — paradoks.

Czy ktoś spośród naszych znajomych nie dostał od nas parasola, zapytała żona, gdy jeszcze była obok, gdy chciała być. Chyba wszyscy już dostali. Może zrobisz wystawę parasoli w muzeum. Albo oddaj je jakiemuś artyście na potrzeby happeningu, widziałam gdzieś, w jakimś mieście, ulicę z kolorowymi parasolami zawieszonymi ponad głowami ludzi. Ochrona. Tego mi brakuje, pomyślała, ale nie powiedziała, bo takich rzeczy się nie mówi, zwłaszcza jeśli planuje się odejść bez wyjaśnień.

Sprawiła mu przykrość swoim niewyjaśnionym, niewytłumaczalnym odejściem. Zabrała swoje ubrania, buty, pachnące nią kosmetyki i całkiem sporo książek. Zrobiło się więcej miejsca na parasole.

Pierwszy raz się z czymś takim spotykam, nie wiem, może niech pan gdzieś wyjedzie, weźmie sobie dłuższy urlop, zaproponował lekarz. Już próbowałem, to nic nie da. Wyjechaliśmy z żoną, gdy znalazłem parasol ogrodowy, wie pan, taki duży, jak do stolika w restauracji, to już jest przesada, jak pan uważa. Żona ode mnie odeszła, ale chyba nie z tego powodu, taką mam przynajmniej nadzieję. Wyjazd nie pomoże, parasole są wszędzie. Z każdej podróży przywożę po kilkanaście, rozdaję ludziom na lotnisku, żeby nie płacić za nadbagaż. Ale pan sobie ze mnie nie kpi, prawda. Prawda, powiedział, nie kpię. Ale może nie tylko prawda, może kłamstwo też, przecież prawda i kłamstwo mogą istnieć równocześnie, jedno w drugim. Chce pan coś nasennego, spytał lekarz. Nie, dziękuję, nie mam kłopotów ze snem. Ja tylko znajduję parasole.

Najwięcej miał małych, czarnych, grzecznych parasoli, mieszczących się w torebce, parasoli na wszelki wypadek, parasoli a jeśli, a co mi szkodzi, parasoli lepiej dźwigać niż ścigać, jak mawiała babcia z Pomorza, parasoli on się źle otwiera, ale jest taki poręczny. Niektóre dawały się znaleźć już w futerałach i spały w nich snem stuletnim, nie rozwijając się na deszczu. Większość nie miała jednak kolorowych trumienek (musi być ktoś, kto znajduje futerały od parasoli, powinien przecież być), dawno urwał im się guzik, rzep czy kawałek materiału z zatraskiem, i wymagały oparcia o inne parasole, by stały grzecznie i nie otwierały paszcz. Czasem któryś osuwał się w dół, jakby chciał umrzeć, i na ten sygnał całe stado otwierało się w jednej chwili, bucząc jak czaple na wiosnę.

Uśmiechał się do parasoli spotykanych w tramwaju, wystawiających ciekawskie głowy spod pach właścicieli lub stojących jedną nogą w powiększającej się kałuży. Któregoś dnia, myślał do nich, któregoś dnia.

Najbardziej lubił czarne, najzwyczajniejsze, z drewnianą, zagiętą rączką, wygodną do trzymania jak ramię bliskiej osoby, która jest zawsze, nie tylko wtedy, kiedy chce. Dłubał w zacinających się mechanizmach, litościwie prostował druty, wygięte wiatrem i czasem.

Czarne parasole, najbezpieczniejsze, najpopularniejsze, zimowe gawrony pod brudnym niebem. Czarnych miał najwięcej. Kiedyś wsadził ich ponad dwadzieścia do ogromnej torby, wywiózł nad rzekę i, upewniwszy się, że nikt nie patrzy, otwierał czasie i układał je kolejno na wodzie, nadając gawronom majestat czarnych łabędzi. Był dumny z ich niezależności, gdy odpływały, ale zdumiała go myśl, że tęskni. Innym razem, podczas szczególnie obfitych zbiorów, gdy jego miastu groziła powódź, bo padało nieustannie przez trzy tygodnie, rozdał kilkanaście przechodniom podczas spaceru. Wrócił do domu inną drogą, zadowolony, że znalazł tego dnia tylko trzy.

Zdarzały się parasole wyjątkowe, krwistoczerwony, beczelnie żółty jak słonecznik, należące do przedszkolaków parasole z uszkami i nosami zwierząt, parasol w kształcie serca, czarne parasole z błękitnym niebem i białymi chmurami w środku. Śmieszyły go parasole składane odwrotnie, niż ludzie są przyzwyczajeni, wyglądające po złożeniu jak spódnica na wieszaku. Ciekawe, kto je wszystkie kiedyś kupił albo znalazł, kto z nimi spacerował, kto i kiedy o nich zapomniał, myślał. Nie, nie myślał. Myślał tylko o parasolach, nigdy o ludziach, którzy chronili się pod nimi i którzy je porzucili.

Próbował.

Próbował szukać właścicieli. Przyklejał na drzewach i płotach ogłoszenia, gdy miał wrażenie, że stary parasol tęskni do starej właścicielki, dla której jest jedynym parasolem. Żaden stary ani nowy właściciel nigdy się nie zgłosił. Widocznie parasole nie są ludziom tak bardzo potrzebne, jak mogłoby się wydawać.

Wzruszał go parasol firmy Bugatti, niewielki, antracytowy, z zachwycająco zagiętą rączką z drzewa kasztanowca. Nie rozumiał, jak można zgubić taki piękny parasol. Dwa razy upolował eleganckie parasole Guy de Jean z rzeźbionymi rączkami w kształcie kaczki

i zająca, który dawał się posłusznie trzymać za słuchy. Na kilku portalach internetowych zamieścił ogłoszenie, gdy uświadomił sobie, jaką wartość ma parasol Pasotti, który powinien zgubić się w Mantui, a nie gdziekolwiek, ze swoim ręcznie wykrawanym poliestrem w jodełkę i skórzaną rękojęcią, która miała sprawiać wrażenie bliskości, jedności ręki z parasolem, a stwarzała międzyparasolowy dystans. Profesor Pasotti spędzał samotnie czas w szafie, czasem tylko wolno mu było przejść się na świąteczny spacer i otworzyć zwieńczoną wysokim czubkiem głowę w miejskim, zwykłym, niemantuańskim parku, gdzie nikt się za nim nawet nie obejrzał. Czasami, gdy było ładnie, zabierał profesora Pasottiego, czasem ten przezroczysty, przez który widać świat, czasem inny parasol na świeże powietrze, uwalniał spomiędzy pomiętych fragmentów materiału, rozpiętego na drutach, przejmujący zapach ostatniego deszczu, tego, którego nie znał. Wieczorami sprawdzał prognozę pogody na następny dzień. Nigdy nie wychodził do pracy z parasolem, nawet wtedy, gdy zapowiadano opady. Po co.

— Ładny parasol — powiedziała.

Musiał coś odpowiedzieć, wypadło odpowiedzieć, zresztą od dawna do nikogo się nie odzywał.

— Dziękuję — odpowiedział.

I tak powstał pierwszy dialog w opowiadaniu. Ona była jeszcze nikim, zwykłą osobą, która stanęła obok niego w autobusie i zachowała się uprzejmie wobec parasola. On też jeszcze był nikim poza tym, że od dawna nie zanotował żadnego dialogu, same opisy przyrody, pada, świeci słońce, znowu pada i będzie padało, i musiał coś odpowiedzieć, żeby na początek nie skłamać ani nie zasłonić się prawdą. Co miał zresztą powiedzieć. Parasol, znaleziony kilka minut wcześniej, czekający na niego na przystanku autobusowym, na którym wsiadają ludzie, a czekają parasole, rzeczywiście był ładny. Z zewnątrz czarny, po rozłożeniu prezentował ciemnoczerwone wnętrze, wyglądał jak serce ukryte pod jakimś niewymownym żalem.

Może lubiła czerwień, kto to wie, miała czerwoną, niewielką torebkę i czerwone kulki kolczyków; może lubiła parasole, kto to wie, ale fakt, że pochwaliła parasol, pozwolił pomyśleć znalazcy parasola, że może jeszcze nie pora na szpital psychiatryczny ani na samobójstwo. Może jest na tym świecie szansa dla ludzi z ciemnoczerwonymi sercami, schowanymi w klatce z połamanymi drutów. A może nie ma, może po prostu chciała zachować się miło i powiedziała cokolwiek, bo od początku opowiadania nie było żadnego dialogu.

Opisy przyrody przeszły w dialog, spacerowali i rozmawiali, pili piwo albo kawę i rozmawiali, z początku o początkach, przecierając szlaki ogólnodostępną grzecznością, badając teren, z każdym kolejnym dialogiem odsłaniając własne didaskalia. Opowiedzieli sobie o nieudanych związkach, o obgryzaniu paznokci, porzuceniu szkoły muzycznej, zawaleniu egzaminu na drugim roku studiów, nadopiekuńczych rodzicach. Śmiali się z miłości do komedii romantycznych, nieudanej próby opanowania języka norweskiego i z jednorazowego pójścia do łóżka z byle kim. Skłamali o tym, co było prawdziwe, opowiedzieli prawdę o tym, co było kłamstwem. Oboje lubili w sobie nawzajem tę ramę, która z każdym dniem, z każdym spotkaniem i dialogiem przesuwała się nieco, odsłaniając kolejny fragment płótna, ale wciąż jeszcze była, wciąż miała do ukrycia wiele z tego, co niepoznane. Byli sobie ciekawi i celowo ciekawość przeciągali, przedłużali jak smycz dla szczeniaka, mądrzejszego z każdym dniem. Przyznał się jej, że maniackalnie sprawdza prognozę pogody, z ulgą przyjmując jej zrozumienie. To oczywiste, powiedziała, każdy chyba to robi, ja na przykład lubię wiedzieć, jakie ubranie przygotować, co zabrać ze sobą na wypadek, gdyby. Wiedział, że kiedyś będzie musiał jej powiedzieć, odsłonić się, jeśli. To konieczne. Ludzie tak robią, odsłaniają się, a potem się tłumaczą.

Siedzieli u niej pewnego rozpoczętego wieczoru, z rozpoczętą butelką wina na nie-rozpoczętej kanapie. Wszystko się dopiero miało rozpocząć, czas, który mogliby czasem nazwać, dopiero się skradał; w takich momentach najłatwiej jest zakończyć wszystko.

Lubił ją. Lubił trzy półki z kryminałami, które czytała, bo wszyscy czytali, a potem nie pamiętała, kto zabił. Lubił ruch, którym zdejmowała okulary, lubił jej szarlotki i serniki, nawet kiedy zjadał o jeden kawałek za dużo. Lubił nieśmiałość jej rąk, czekających grzecznie na stole i zaczynających niespodziewanie żyć własnym życiem, gdy ona przymykała oczy, gdy ją całował, a jej dłonie wędrowały po nim z zapalem i ciekawością dwóch kociąt. Lubił jej ręce i oczy, patrzyła uważnie, dotykała bez namysłu.

Ona też go lubiła. Lubiała, że pozwala jej rękom wędrować po sobie bez mapy, że prosi o jeszcze jeden kawałek sernika, że spokojnie słucha, co u niej w pracy, co ją cieszy, czego się obawia. Lubiała go po prostu i wiedział, że ona go lubi, dlatego musiał jej powiedzieć. Ale to ona go uprzedziła.

— Muszę ci coś powiedzieć — oznajmiła, wstając. Kończąc w najlepszym momencie, zanim się zaczęło, choć przecież nie wiedziała ani nie chciała. — Właściwie nawet nie powiedzieć, pokazać. I wyjaśnić. Zdarza mi się to od dawna, chyba od początku liceum. Ojciec na mnie krzychał, kazał mi to wyrzucać, mama czasem gdzieś wynosiła pełne reklamówki, nawet nie wiem gdzie. A ja przywykłam, po prostu przywykłam. Komuś się to przecież musi zdarzać.

Otworzyła przed nim drzwi po lewej stronie od wejścia, drzwi, na które wcześniej nie zwrócił szczególnej uwagi, a teraz przyszło mu do głowy, że można się za nimi spodziewać niewielkiej garderoby, półek z butami, wieszaków na płaszcze, ewentualnie słoików z przetworami, nie mam piwnicy, a tak bardzo lubię ogórki i dżem z czarnej porzeczki, dam ci słoik. Ale nie mamy tego, czego się spodziewamy, chyba po prostu nie ma na świecie tego, czego się spodziewamy, zamiast słoików z przetworami — dwie komody pełne szuflad, muszę ci powiedzieć, musisz wiedzieć, skoro chcesz zostać, skoro ja chcę, żebyś został i proszę cię, żebyś został ze mną, przecież wszystko jest tak dobrze, nic się nie może stać, a jeśli się stanie, to się jakoś wytłumaczy.

Musisz wiedzieć, mówi ona, zdarza mi się to nieustannie, od liceum, co najmniej trzy razy w tygodniu, ale to się da wyjaśnić, próbuję sobie w każdym razie jakoś to wyjaśniać, powiedziała, wysuwając jedną, potem drugą, trzecią i kolejną szufladę w komodzie stojącej naprzeciwko drzwi, dużej, drewnianej komodzie, zobacz, powiedziała, jeszcze tutaj, i wystawiła szufladę z drugiej komody, zupełnie jakby pokazywała mu język, zobacz, co ludzie gubią najczęściej.

— Wiesz, co ludzie gubią najczęściej? — zapytała.

Wiedział. Ale jego prawda była jej kłamstwem.

— Rękawiczki, oczywiście. Rękawiczki i okulary przeciwsłoneczne — odpowiedziała, bo nie znał odpowiedzi albo jego odpowiedź była nie dla niej. — Okulary mają prostsze życie, są zawsze podwójne, ale rękawiczka gubi się jedna, samotnie, to nie może być nic miłego. Spójrz.

Spojrzał, chociaż bał się. Nie tego, co zobaczył, dlaczego bać się szuflad wypełnionych rękawiczkami bez pary i okularami przeciwsłonecznymi, nie ma w tym widoku nic straszego. Bał się, że zobaczy i że będzie wiedział, co dalej.

— Ja je po prostu znajduję. Wszędzie, w autobusach, w parku, w cukierni, w kinie, w kościele. Próbowałam szukać właścicieli, oddawać je komukolwiek, wyrzucać, gubić, tak jak inni gubią. To nic nie daje. To jak choroba skóry, można podleczyć, ale wraca. Są ludzie, którzy gubią okulary i rękawiczki, a skoro są, przecież musi być ktoś, kto je wszystkie znajduje, prawda?

Spojrzały na niego setki oczu, czarnych i brązowych, kilka zielonych, niebieskich, nawet różowe. Dziesiątki, setki okularów przeciwsłonecznych, tandetny plastik znad morza, kupiony na szybko, żeby tylko upał mniej przeszkadzał, przezroczyste, plastikowe, metalowe ramki, ramki w ciapki, w gwiazdki, kwiatki i kółka, i przemyślane, drogie, eleganckie szkła, okulary, których być może ktoś kiedyś długo szukał, a które teraz leżały w czyjejs szufladzie, bo musi być ten ktoś, kto je znajduje, prawda. Okulary z imponującym logo firmy, leżące w osobnej szufladzie, wyeksponowane jak na wystawie sklepu, i okularowa hołota w tanich oprawkach, poskręcanych, połączonych, splecionych ze sobą

jak paralitycy w jakimś zapomnianym przez odwiedzających szpitalu. Szkielety z filtrem przeciw promieniowaniu UV.

Dotknęły go setki dłoni, rękawiczki, prawe i lewe, bez żadnej reguły, każda inna. Ciepłe, zimowe, które dają szansę grzać się wzajemnie czterem palcom, wykluczając kciuk, odrzucając to, co wyróżnia człowieka. Dziecięce rękawiczki z kolorowymi palcami, do których przylepia się mokry śnieg. Długie do łokcia, skórzane rękawiczki, zapinane na wysokości nadgarstka na perłowy guzik. Kilka koronkowych rękawiczek o cienkich palcach nieżywej prababki, cała masa rękawiczek bez palców, nawet ogrodowa rękawiczka z gumową, niebieską powłoką. Najwięcej jednak czarnych i brązowych, zwykłych, skórzanych rękawiczek, najszybciej przyjmujących kształt dłoni, którą w sobie nosiły. Pomyślał, że może warto sprawdzić, czy któraś z tych skórzanych rękawiczek nie pasuje jak ulał do eleganckiej rączki któregoś z jego parasoli, zabawa w kopcuszkę i bucik, która mogłaby uprzyjemnić jego pobyt w tym mieszkaniu na noc, na całe życie, ale ta myśl była tylko mgniemieniem, mrugnięciem powieką, słabością, na którą nie powinien sobie pozwolić, która nie powinna przyjść i nie wolno jej powrócić. Nie dałoby się takiej myśli wytłumaczyć, a teraz trzeba tłumaczyć się szybko, natychmiast, że coś sobie przypomniał, że lekarstwo na zgaęgę, bo za dużo ciasta, że naprawdę zadzwoni jutro, i szybko w dół schodami, jak najszybciej, wymówka byle jaka, ale jakie to może mieć znaczenie, skoro już go nie ma, skoro zbiegł na parter razem ze swoją byle jaką wymówką, przepraszam, naprawdę muszę, chcesz ode mnie czegoś, czego nie umiem dać, bo to ciągle znajduję.

Ucieczka

Dopiero, kiedy wybiegł pomiędzy bloków i skręcił w stronę alei drzew, zmierzającej do głównej drogi, poczuł się bezpieczny. Ukryty, schroniony. Rozejrzał się w poszukiwaniu parasola. Powinien gdzieś tu być. Na pewno w parku albo w koszu na śmieci, albo na ławce przy placu zabaw. Ciekawe, jaki dzisiaj.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/papuzanka-pan-parasol>

Tekst opracowany na podstawie: Zośka Papużanka, Pan parasol, wyd. I, Fundacja Nowoczesna Polska 2020.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła.

ISBN 978-83-288-6169-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).